

# Jacek Salij

---

## Ten człowiek próbował chodzić bez maski

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (35), 118-122

---

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Glosy

*Pamięci Romana Zimanda*

## **Ten człowiek próbował chodzić bez maski**

Poznałem go w czerwcu roku chyba 1974. Został on wówczas zaproszony do klasztoru Sióstr Zmartwychwstaniek na Żoliborzu jako jeden z prelegentów, którzy w kolejne wieczory starali się nam przybliżyć problematykę pojednania polsko-żydowskiego oraz przedstawiali nam rozmaite tematy z zakresu duchowości żydowskiej oraz kultury i historii tego narodu. Nam – to znaczy młodzieży warszawskiego KIK-u, której wówczas byłem kapelanem, a która przychodziła na te spotkania bezpośrednio po pracy nad porządkowaniem żydowskiego cmentarza, jeszcze bardziej zaniedbanego wówczas niż obecnie. Takich tygodni żydowskich młodzież KIK-owska zorganizowała w latach siedemdziesiątych kilka.

Nie pamiętam już, o czym mówił Zimand. Za to pamiętam bardzo dobrze, że zachowywał się poprawnie, ale nie uprzejmie. „Zapewne nigdy jeszcze w życiu nie był w katolickim klasztorze” – pomyślałem sobie wówczas. Dopiero kiedy go poznałem bliżej, mogłem się przekonać, że taki był jego styl: starał się nigdy nie nakładać maski, nawet maski uprzejmości. Ludziom zwyczajnym bardzo bym odradzał przyjmowanie takiego stylu, Zimandowi dodawał on uroku, podkreślał jego niepowtarzalność. Po prostu miał w sobie dość sprawiedliwości i życzliwości dla ludzi, żeby próbować chodzić bez maski.

Pamiętam jeszcze, że na samym początku tamtego swojego wieczoru złożył deklarację, że jest człowiekiem niewierzącym. Nie pamiętam,

co mówił, ale musiało to być coś związanego z Biblią albo z duchową tradycją żydowską, bo nigdy nie zapomnę, że wydało mi się to gruntnie niezgodne z deklaracją, jaką złożył na wstępie: mówił bowiem z żarliwością chasydzkiego mistyka. Dziwny jest ten świat: z ambony potrafimy mówić chłodno i jakby bez przekonania, a deklaracja niewiary nie musi przekreślać religijnej żarliwości.

Nie pamiętam, kiedy poznaliśmy się naprawdę. Znam siebie i mogę z całą pewnością powiedzieć, że to on zaproponował mi pierwsze spotkanie. Kiedy przychodził do mojego klasztoru na rozmowę, zawsze miał w rękawie jakiś tekst biblijny, o którym chciał porozmawiać, albo jakiś problem dotyczący podobieństwa i różnic między religią żydowską i chrześcijańską; niekiedy chodziło mu o jakiś szczegół związany z tematem, jakim się akurat zajmował. Bardzo troszczył się o to, żebym wiedział, iż jest człowiekiem niewierzącym i że wiary nie szuka. Zarazem nosił w sobie nieprawdopodobne wprost zainteresowanie dla problematyki związanej z wiarą.

Ale również w tym zakresie interesowały go raczej szczegóły, niż spojrzenia całościowe. Kiedyś na przykład – było to już w czasie, kiedy również ja do niego przychodziłem – zaczął się zastanawiać nad sensem tego szczegółu, iż kamienia ze snu Nabuchodonozora nie dotknęła żadna ręka ludzka. Wyciągnął „Symfonię”, czyli rosyjską konkordancję do Biblii, i okazało się, że szczegół ten znajduje się na bardzo interesującym polu symbolicznym. Można o Zimandzie powiedzieć – w najlepszym tego słowa znaczeniu – że był bałwochwalcą szczegółu.

Widowym dowodem tego naszego zetknięcia się wokół problematyki religijnej jest dyskusja, którą sam ofiarował się zorganizować na temat *Religion* Kołakowskiego: jeszcze nie wiedzieliśmy, że w polskim przekładzie książka będzie nosiła tytuł *Jeżeli Boga nie ma*. Dyskusja odbyła się w styczniu 1983 w moim klasztorze, a wzięli w niej udział, oprócz Zimanda, Stefan Amsterdamski, Karol Tarnowski, Bohdan Chwedeńczuk, Paweł Kłoczowski, może ktoś jeszcze. Szkoda, że nie mogła zostać wydrukowana w miesięczniku „W drodze”; w końcu znalazła się w numerze 5/86 „Almanachu Humanistycznego”.

Czymś najgłębiej religijnym w tym człowieku – tak jak to odczuwałem – był jego stosunek do prawdy. Mówił o tym bardzo oszczędnie, ale nie można było go nie zrozumieć: Szacunek dla prawdy zakazywał mu emigrować z kraju, w którym był, z racji zaangażowań opozycyj-

nych, dyskryminowany. „Bo przecież ja sam przykładałem ręki do tego, żeby w Polsce zapanował komunizm”. W okresie okrągłego stołu i potem, pamięć o epizodzie ZMP-owskim powstrzymywała go od jakichkolwiek zaangażowań w sprawowanie władzy. Wielu nie mogło zrozumieć tej postawy, a on nie rozumiał, że ludzie nie rozumieją.

Miał wręcz alergię na sprzeczanie się prawdzie. Spalony był dla niego człowiek, którego przyłapał na kokietowaniu publiczności. W ten sposób stracił szacunek dla któregoś z naszych wielkich opozycjonistów, który podczas jakiejś konferencji prasowej na Zachodzie wypowiedział się przeciwko amerykańskiej obecności w Wietnamie. „On genialnie czuje, czego słuchacze od niego oczekują, on ma bezbłędny instynkt podobania się ludziom – wracał Zimand do tego wydarzenia jeszcze na kilka miesięcy przed swą śmiercią. – Ale kto nie słyszy rozlegającego się na cały świat krzyku zabijanych i tonących *boat people*, słyszy zaś oczekiwania jakichś zaślepionych doktrynerów i jeszcze im ulega; wybaczcie, ale Warszawa jest dość szeroka i nasze drogi nie muszą się przecinać”.

Brak potrzeby podobania się ludziom i niezależność od mody na jakieś określone poglądy i postawy kazały Zimandowi przyznawać się do przyjaźni z postm Niesiołowskim, opublikować radykalny artykuł przeciwko cutanazji czy popularyzować – w ramach polskiego wyboru z „Commentary” – bardzo krytyczne artykuły na temat feminizmu czy lobby homoseksualnego.

Wszystko to jednak robił w miarę dyskretnie, bo był wewnątrzsterywny autentycznie. Zimand nie należał chyba do tych, którzy potrafili toczyć wielkie boje w imię swoich racji, ani do tych, którzy głośno krzyczą o tym, że czymś różnią się od innych. Kiedy coś mu się nie podobało, chyba wolał usunąć się na bok i myśleć swoje. Krzyczałby może dopiero wówczas, gdyby ktoś próbował mu wejść w tę jego prywatność. Piszę o tym, bo pomoże mi to określić jego stosunek do Kościoła. Chyba Kościoła nie lubił, a w każdym razie nie podejrzewałem go o jakiegokolwiek pozytywne uczucia. A jednak sam słyszałem, że raz czy drugi ubolewał nad jakimś napastliwie antykościelnym artykułem w „Gazecie Wyborczej”. „Z mojego żydowskiego domu – tłumaczył mi – nigdy nie wynoszono śmieci ani w szabat, ani w niedzielę; dzisiaj nie wszyscy wiedzą o tym, że prawem mniejszości jest upominać się o swoje, ale mniejszość powinna się też liczyć z odczuciami większości”.

Jakby streszczeniem Zimandowej niezależności był dla mnie Wielki Poniedziałek roku 1982. Otrzymałem wówczas pozwolenie władz więziennych na przeprowadzenie rekolkcji dla internowanych w Jaworzu. Większość internowanych – w Jaworzu odosobniono intelektualną elitę opozycji – stanowili ludzie niewierzący lub niepraktykujący. Na rekolkcje przyszli jednak wszyscy. Wszyscy, ale z wyjątkiem Zimanda. Ponieważ reżim w Jaworzu był łagodny, pan Roman zaprosił mnie, rzecz jasna, do swojej celi na herbatę. Jednak progu świątlicy – w czasie, kiedy przemieniono ją w miejsce sakralne – nie przestąpił.

Ale jeden raz widziałem go nawet w kościele. Było to tak. Zadzwonił kiedyś, czy nie mógłby do mnie przyjść. Odpowiedziałem, że nie, bo mam właśnie odczyt. „Zresztą na temat antysemityzmu” – dodałem. Zapytał, gdzie i o której godzinie. Powiedziałem, że w kościele świętego Aleksandra, ale nawet do głowy mi nie przyszło, żeby go zaprosić. Zaczynam odczyt i własnym oczom nie wierzę: na wprost mojego pulpitu siedzi Zimand. Myślę, że ten właśnie odczyt skłonił go, by tak niezasłużenie wymienić moje nazwisko w *Piołunie i popiele* w kontekście niezmiernie dla mnie zaszczytnym. A nawiasem: dlaczego tak mądre i głębokie spojrzenia na problem polsko-żydowski, jak *Piołun i popiół*, jest praktycznie nieznane?

Dedykacja *Piołunu i popiołu* oddaje całego Zimanda, jakim go znałem: jest to czysto obiektywna informacja, że byłem jednym z pierwszych czytelników maszynopisu. Dokładnie tak samo było z naszymi spotkaniami: oschle przywitania i pożegnania – i fascynująca przerwa między jednym i drugim, nieraz naprawdę bardzo długa. Pochwalił się jeszcze, że *Dlaczego partii potrzebna jest partia?* też znałem chyba jeszcze w maszynopisie – rzecz jasna, nie mogłem się nie domyśleć, że to on napisał, ale on mi tego wówczas nie powiedział.

Przeglądałam teraz inne dedykacje na otrzymanych od niego książkach i oczom nie wierzę: jest napisane zielono na białym, że tę książkę ofiarowuje mi „z całą serdecznością”, a tamtą „z wyrazami szacunku i sympatii”, a jeszcze inną „z ufnością”, że nie dałem „się zwariować kampanii wyborczej”. W bezpośrednim kontakcie aż na takie szaleństwa spoufalenia nigdy by sobie nie pozwolił! Kto znał Zimanda, rozumie, o czym teraz piszę. Ten człowiek wielu ludzi zrażał swoją oschłością. Ale tylko tych, którzy nie zauważyli, że ta oschłość to po prostu brak maski. To nie była nawet skorupa, za którą krył się niez-

wykle dobry i mądry człowiek. Po prostu – on nie miał maski, a zarażem był dobry i mądry.

Dzięki kalendarzykowi mogę dokładnie powiedzieć, że byłem u niego 28 listopada 1991 r. Już był chory, ale tego nie zauważyłem. Wciąż jeszcze się fascynował autobiografią jako rodzajem literackim. W związku z tymi zainteresowaniami pożyczył ode mnie *Wyznania świętego Augustyna* i *Życie Teresy od Jezusa*. Twierdził, że w literaturze polskiej ten rodzaj literacki jest praktycznie nieznany. „Może tylko Zamoyska jest tu wyjątkiem” – dodał. Kiedy już byłem w płaszczu, powiedział mi jeszcze, że nie czyta teraz żadnych gazet i że nigdy by nie przypuszczał, że to tak dobrze robi dla ducha. Myślę, że przy pożegnaniu był tak samo oschły jak zazwyczaj, ale tego nie pamiętam.

Potem już było tylko spotkanie w szpitalu. Niesamowita to była rozmowa. Poznał mnie, na moje pytania (najprostsze, rzecz jasna) reagował rzeczowo, aby zaraz potem wciąż na nowo odpływać w dziwną mowę, wypowiedaną w poprawnych zdaniach, której treść jednak nie przystawała do rzeczywistości. Mówił wówczas przeważnie po angielsku.

Jeszcze po śmierci oddał mi wielką przysługę. Mianowicie, wspominając go w rozmowie z Ryszardem Herczyńskim, napomknąłem coś o jego stanowczym sprzeciwie wobec eutanazji. Zastanawiał się nawet nad wydaniem u nas książki swojego przyjaciela, doktora Fenigseny, na temat fatalnych skutków, jakie przyszyły w ślad za legalizacją eutanazji w Holandii; rozdział z tej książki opublikował w „Almanachu Humanistycznym”. „A może chciałbyś mieć adres doktora Fenigseny?” – zapytał mnie Ryszard. I tak efektem naszej żalobnej rozmowy o Zimandzie będzie polskie wydanie tej niezwyklej książki jego przyjaciela.

*Listopad 1992*

*Jacek Salij*

## **O kobietach, herbacie i kamizelkach**

Kolejność była chyba właśnie taka. Najpierw kobiety. W życiu Romana Zimanda odgrywały – oczywiście – niesłychanie ważną rolę, przy czym za każdym razem dama serca pojawiała